

XII Festiwal Teatrów Polski Północnej

Finał i laury

Od specjalnego wysłannika

Nieprzypadkowo jedno zbiegło się z drugim. Laury festiwalowe przypadły bowiem w tym roku twórcom i teatrom prezentującym swoje realizacje w czterech ostatnich dniach festiwalu. Złośliwi powiadali nawet, że dopiero wtedy – w dniu występów teatru im. Jaracza z Olsztyna – rozpoczął się właściwie festiwal. Złośliwi – mówiąc „festiwal” mają na myśli pewien określony – nazwijmy go „festiwalowy” poziom przedstawień. Co zobaczyliśmy więc w toruńskich finałach?

Olsztyn pokazał „Bolszewików” Michaiła Szatrowa w reż. Andrzeja Przybylskiego i scenografii Józefa Zboromirskiego oraz „Edwarda II” Marlowe’a (przekład Jerzego S. Sito), którego inscenizację przygotował Jan Bieczyński do scenografii Władysława Wigury. Treść sztuki Szatrowa sprowadza się pokrótce do dyskusji członków pierwszego radzieckiego Sownarkomu na temat konieczności wprowadzenia czerwonego terroru, jako odpowiedzi na biały terror kontrrewolucjonistów. Rzecz dotyczy zamachu na Lenina dokonanego w sierpniu 1918 r. Jest to właściwie par excellence scenariusz publicystyczny i jako taki próbował go zrealizować reżyser. Niestety, inscenizacja załamała się na nieporadności aktorów, którzy nie udźwignęli siły, tempa i żaru sporu. Bardzo pięknie natomiast obroniła się koncepcja Jana Bieczyńskiego (pisaaliśmy już o niej w „Słowie”); który zaprezentował „Edwarda II” Marlowe’a.

Przedstawienie to – świeże, oryginalne, manifestacyjne, antyiluzjonistyczne ze słynnym już ringiem, na którym aktorzy „grają teatr” – otrzymało jedną z trzech nagród za reżyserię i inscenizację. Dla ścisłości otrzymali je reżyser Jan Bieczyński oraz scenograf Władysław Wigura. Był to pokaz sensu i formy, razem z okrucieństwem immanentnie w nim zawartym. Rzecz jest przecież o „burzliwym panowaniu i żalosnej śmierci króla Anglii i tragicznym upadku dumnego Mortimera” czyli inaczej – o życiu ludzi kierujących się jedynie instynktami, namiętnościami i kaprysami.

Zupełnie odmienny typ tematu i teatru przedstawił najsilniejszy z teatrów Polski Północnej – Teatr Wybrzeże z Gdańska. Zbigniew Bogdański i Zbigniew Florczak zaprezentowali adaptację „Przedwiośnia” Stefana Żeromskiego, którą wyreżyserował tenże Zbigniew Bogdański, a scenografią opatrzyła Jadwiga Pożakowska. W pewnym sensie było to przedstawienie wzorcowym pokazem dobrej roboty warsztatowej, kulturalnym teatrem dla widzów zmęczonych eksperymentami. Piszę – w pewnym sensie, bo trapi mnie wątpliwość czy tego rodzaju adaptacja będąca tylko i wyłącznie ilustracją książki jest nam w stanie podpowiedzieć dziś jakieś pytania, poruszyć nas? Brak mi tu osobistej i jednoznacznej koncepcji adaptatora i reżysera, brak widzenia dzieła Żeromskiego, brak tego co nazywa się zwyczajnie interpretacją. Ze jednak przedstawienie (w stosun-

ku do innych) czyste i dobre aktorsko – wyróżnienie przyznane przez jury Zbigniewowi Bogdańskiemu wydaje się być usprawiedliwione. Tak jak i nagroda aktorska dla odtwórcy roli Czarusia – Andrzeja Piszczatowskiego.

Drugą nagrodę za reżyserię otrzymał w Toruniu spektakl Jana Maciejowskiego (scenografia Zofii Wierchowicz, również laureatki) „Hamlet” zaprezentowany przez Teatr im. Wilama Horzycy w Toruniu.

Spektakl jako całość artystyczna najbardziej z pokazanych w Toruniu konsekwentny, jednolity, zamknięty. Spektakl poza tym niezwykle interesujący, nieco podobny w koncepcji do „Hamleta” warszawskiego: młody król-wicz duński reaguje jak młodzieniec naszej połowy XX wieku. Też bardziej działa niż oddaje się wahaniom i głębokim rozmyśleniom, też jest bardziej biologicznie niż intelektualnie unerwiony. Odtwórcą roli Hamleta Marek Bargiełowski zaprezentował osobowość aktorską ciekawą i możliwości wcale obiecującą (za tę rolę otrzymał również nagrodę aktorską). Podobnie jak Ofelia (Teresa Marczevska) laureatka nagrody SPATIF-u dla młodego aktora. Oprócz „Hamleta” Toruń pokazał prezentowaną już przez Białystok „Niespokojną starość” Rachmanowa (reż. Hugon Morcyskiński, scenogr. Antoni Tośta). Przedstawienie raczej nieinteresujące, chociaż bardziej „męskie” i mniej celebrowane niż realizacja białostocka.

W ostatnim dniu toruńskich spotkań zobaczyliśmy „Wesele” Stanisława Wyspiańskiego w reż. Józefa Grudy i scenogr. Jana Banuchy, przywiezione przez Teatr Polski ze Szczecina. Spektakl ten stał się przysłowiowym „najlepszym ostatnim kaskiem”, a jego twórca Józef Gruda otrzymał pierwszą nagrodę za reżyserię i wydobył wartość ideowo-artystycznych. W dorobku Grudy jest to „Wesele” wersja czwarta. I chyba najbardziej zaskakująca: Akt I i III arcydramatu Wyspiańskiego potraktowane są zwyczajnie, konwencjonalnie. Dopiero po obejrzeniu całości okazuje się, że pracują one na akt II, w którym toczą się rozmowy z widzami. W szczecińskim „Weselu” te rozmowy to czysta, porywająca, zaskakująca oryginalna i świeża dysputa narodowa. To publicystyka w wielkim stylu ujawniająca nieoczekiwane podobieństwo do tej, która zawarta jest w „Wyzwoleniu”. Postacie i widma mówią razem jeden tekst, mówią go na różnych wysokościach emocjonalnych głosu, wprost do sali i jakby z sali, bo aktor odtwarzający określone widmo (cywil w golfie) jest na widowni, a jego interlokutor spiera się z nim z wąskiego pomostu, który jak małe molo prowadzi ze sceny prawie na środek sali.

Głosy-racje odbijają się echem w tym dwugłosie; widz ma wrażenie, że wyszarpuje się je wprost z niego. Pasjonujące i kapitalne to rozwiązanie, wymaga jednak znakomitego aktorstwa wykonawców. Zadaniu temu sprostał w pełni Wacław Ulewicz, grający Dziennikarza – pierwsza nagroda aktorska. Pozostali jeźdźcy nie byli więcej niż poprawni, to co najmniej autentycznie „podciągnięci” temperatura i napięciem sytuacji scenicznej. Mieliśmy więc już „Wesele” szopkowe, realistyczne, poetyckie; mamy „Wesele” surowe, ascetyczne i publicystyczne. Przy tym ostre i nadszpodzielanie współczesne. (Z okazji „Wesela” otrzymał też nagrodę jego scenograf, Jan Banucha.

I... to już byłoby wszystko. Można by jeszcze wprowadzić podyskutować o wielu bardziej ogólnych sprawach łączących się z festiwalem toruńskim, ot – chociażby o roli festiwalu w ogóle. Ale to już jest całkiem inna historia.

TERESA KRZEMIEN